didaskalia
gazeta teatralna

Z numeru: **Didaskalia 187/188**
Data wydania: czerwiec – sierpień 2025
Źródło:
https://didaskalia.pl/pl/artykul/litr-soku-pomidorowego-tabliczka-gorzkiej-czekolady-najwiekszy-na-swiecie-banan

/ AKTORKI

Litr soku pomidorowego, tabliczka gorzkiej czekolady, największy na świecie banan

Z Martyną Krzysztofik rozmawia Justyna Nowicka

Jestem przekonana, że rolą Molly w *Ulissesie* Michała Borczucha w Teatrze im. Słowackiego przechodzisz do annałów krakowskiego teatru. Oszalałaś z radości, kiedy Michał Borczuch zaproponował ci tę rolę?

Byłam zaskoczona. Nie wiedziałam nawet, czy Michał kiedykolwiek widział mnie na scenie. Okazało się, że zobaczył mnie w spektaklu Gosi Jakubowskiej w szkole teatralnej. Spektakl nosił tytuł *Marzyciele*, opowiadał o osobach bezdomnych. I już wtedy Michał podobno postanowił, że kiedyś u niego zagram. Powiedział mi też, że jego marzeniem jest spektakl, w którym wystąpię z moją mamą. Ma nawet tytuł… Na razie niech to zostanie tajemnicą, dobrze?

Miałaś wcześniej jakieś wyobrażenia o tej postaci, tym tekście?

Nie czytałam wcześniej *Ulissesa*, co miało swoje złe i dobre strony. Do tej postaci dochodziłam stopniowo, poznając ją powoli, czasem mozolnie budując w sobie jej obraz. Kiedy wywieszono obsadę, Dominika Bednarczyk powiedziała, że Molly to cudowna postać do zagrania. „No i ten genialny monolog na końcu!" Patrzę, a ten genialny monolog ma jakieś pięćdziesiąt stron… Wyzwanie okazało się ekstremalne, pod każdym względem. Czy się udało? Po premierze Paweł Miśkiewicz przyszedł do mnie do garderoby płacząc. I to była jedna z najważniejszych „recenzji", bo Paweł pochodzi z teatralnego świata, za którym bardzo tęsknię, i który mnie ukształtował. Najważniejszym spektaklem mojego dzieciństwa był *Kalkwerk* Krystiana Lupy. Miałam zresztą taki sen, że robię w *Kalkwerku* zastępstwo za mamę, a zachwycony Lupa wyznaje mi po spektaklu miłość. Nikt nawet nie zauważa, że nie pamiętam tekstu, w pewnym momencie wstaję z wózka inwalidzkiego i idę za kulisy. *Kalkwerk* to spektakl mojego życia, a rolę mojej mamy uwielbiam. Podobnych, pełnych wzruszenia reakcji było po premierze *Ulissesa* mnóstwo. Otrzymałam też kilka romantycznych propozycji, całkiem interesujących, i nie tylko od heteryków. Na *Ulissesie* był też mój tata, nawet mnie pochwalił. A to nie jest takie oczywiste, żeby jawnie chwalił.

A co powiedziała Małgorzata Hajewska-Krzysztofik?

Nie widziała spektaklu, zresztą może to dobrze, bo bym się bardzo stresowała. Ciągle gdzieś gra, rozmijamy się. Ja też nie widziałam wielu spektakli mamy. Wrócimy to tego wątku, prawda?

Koniecznie. Rolą Molly pokazałaś, że niedaleko padło jabłko… Ale po kolei.

Monolog Molly jest jakby podsumowaniem całego spektaklu. Zastanawiałam się, czy na pewno mam prawo to wszystko wypowiadać. Czułam, że monolog nie zadziała, jeśli całość spektaklu nie zapracuje na końcowy efekt. Zaczynaliśmy od pracy w małych grupach, ale zaglądałam też na próby kolegów, słuchałam, jak próbują. Musiałam się upewnić, że jestem w tym samym kuriozalnym świecie co oni. A przede wszystkim zrozumiałam, że wypowiadany przeze mnie strumień myśli musi być bardziej mój, niż wszystko, co dotąd zrobiłam w teatrze. Rozumiesz, co mam na myśli? Ten strumień myśli nie jest logiczny, nie wystarczyło nauczyć się słów na pamięć. To jest logika jakiegoś odrębnego świata, świata Molly. Musiałam w tę logikę wejść, przyswoić ją sobie. Utrudnieniem był też fakt, że w tekście nie ma ani jednego znaku interpunkcyjnego, ani jednej kropki, przecinka. Często na próbach spieraliśmy się o te znaczenia, naprawdę nie było tu oczywistych decyzji.

A jak powstawał świat spektaklu, otoczenie Molly?

Były oczywiście pewne zasady, ale wypełnialiśmy je treściami. Przeszliśmy na próbach przez bardzo różne światy, prawdziwe, realistyczne, wyobrażone, jakieś abstrakcyjne sytuacje też testowaliśmy. Miałam już na przykład kupiony ryżowar (z którym miałam wychodzić z domu na spacer nocą), była też kosiarka do trawy (bo przecież to całkiem normalne nocne zachowanie – koszenie trawy, prawda?). Brzmi to może dziwacznie, absurdalnie, ale wcale nie jest takie dziwne, bo co robi ktoś, kto w nocy nie może spać? Też tak mam i doskonale to rozumiałam. Kiedy nie mogę zasnąć, wcale nie leżę

bezczynnie w łóżku: wstaję, wychodzę do kuchni, idę umyć wannę, czasem coś sobie włączam. Tak właśnie zachowuje się Molly. Nie śpi. Gada. Długo szukaliśmy wiarygodnej sytuacji na scenie. W końcu przyszłam kiedyś na próbę i mówię do Michała: „a może ona będzie tak sobie leżeć?". No i wygłaszam ten monolog, leżąc z Krzysztofem Zarzeckim w łóżku. „A little bit paralysis" – tak sobie nazwaliśmy ten mój stan: leżę, jakbym była lekko sparaliżowana, i mówię. Zdarza się, że monolog trwa czterdzieści minut, to i tak dobrze, bo podczas pierwszej próby generalnej był jeszcze dłuższy, o jakieś cztery-pięć stron. Czyli trwał prawie półtorej godziny.

To brzmi trochę jak teatralny maraton, chyba nie jest ci zbyt wygodnie?

Najgorsze było to, że zaczęłam drętwieć. Leżałam i mówiłam, drętwiały mi ręce i twarz, i aż do próby generalnej działo się tak podczas każdego monologu. Przyczyną tego drętwienia był nienaturalny oddech w pozycji leżącej. Na szczęście wypracowałam swoje rytuały. Przy łóżku jest woda, przed spektaklem wypijam litr soku pomidorowego (wiadomo, potas), a przed drugim aktem zjadam wielkiego banana i tabliczkę bardzo gorzkiej czekolady.

Mam wrażenie, że musiałaś pozwolić sobie na absolutne błądzenie podczas pracy nad ta rolą. Błądzenie bez żadnych punktów wsparcia.

Nie brakowało innych trudności. Niektóre koleżanki mówią, że widać, że monolog Molly napisał facet. Owszem, Molly bardzo dużo mówi o seksie, można założyć teoretycznie, że jest to jakaś forma projekcji męskich

wyobrażeń. Tymczasem ja miałam wrażenie, że czytam o sobie, jakby pisał to ktoś, kto mnie zna. Sama miewam podobne strumienie myśli. Tomek Śpiewak, nasz dramaturg, po premierze powiedział, że Joyce napisał ten monolog jakby dla mnie. Oczywiście, nie mam wątpliwości, że zostało to napisane ponad sto lat temu, wiele rzeczy się zmieniło. Ale, zwróć uwagę, że tak naprawdę o Molly niewiele dowiadujemy się z tej książki. Czasem Bloom o czymś wspomina. Musiałam trochę poszukać poza tekstem, żeby te luki powypełniać.

Na szczęście postać Molly ma konkretny pierwowzór.

Jest nim Nora Joyce, żona Joyce'a. On sporo wyjeżdżał, dużo korespondowali. W listach Nory jest naprawdę pełno bardzo śmiałej erotyki. Podobno pisała je, żeby mąż nie interesował się innymi kobietami. Może. Nie miała natomiast problemu z pisaniem o seksie, była bardzo otwarta, swobodna. To są świetne teksty! Wszystko wskazuje na to, że Joyce napisał monolog Molly, będąc pod wpływem tekstów swojej żony. Więc nie tyle włożył te słowa do głowy swojej literackiej bohaterki, ile wyjął je z głowy żony. Jak wiadomo, cała akcja *Ulissesa* dzieje się 16 czerwca, w dzień rocznicy pierwszej randki Joyce'a z Norą. Prawdopodobnie była to bardzo romantyczna randka. O seksualności Molly rozmawialiśmy też dużo na próbach. Temat jest chyba bardziej złożony niż może się wydawać. Na pewno nie jest to prosta projekcja wyobrażeń czy pragnień autora. Dla mnie pod wszechobecną seksualnością, Molly jakby coś ukrywa. Kiedy wspomina spotkanie ze starszym kolegą ojca, kapitanem, mówi coś w rodzaju: „pamiętam ten dzień, były fale, był zapach statku…". Była wtedy jedenasto-, dwunastoletnią dziewczynką, już wtedy uznawaną za piękną. Prawdopodobnie została wtedy wykorzystana seksualnie przez kolegów ojca i ta część jej monologu odnosi się do

doświadczenia gwałtu.

Kiedy po kilku latach, jako dorosła kobieta spotyka się ze swoim pierwszym chłopakiem, robi to na własnych warunkach. Mówi: „robiłam, co chciałam". Poprzez swoją seksualność odzyskuje sprawczość. Ale też seksualność pozwala jej zagadać, przykryć to, czego nie jest pewna, czego się boi, czego wciąż nie przepracowała – śmierć dziecka, niepewność, czy być z mężem, czy go zostawić. A jej kariera śpiewaczki? Tak naprawdę nie wiadomo, czy nie jest ona jakąś wariacją „boskiej Florence"? No, może nie jest zupełną amatorką, ale też bez przesady, żadna z niej Edith Piaf. Jej ciało ujawnia to, co w niej ukryte, zepchnięte w podświadomość. Bo czym jest jej relacja z Dedalusem? Pragnieniem kochanka czy pragnieniem odzyskania zmarłego dziecka? Jej ciało wysyła różne, czasem sprzeczne, nieświadome sygnały, a seksualność staje się sposobem wypowiadania ich.

Miałaś świadomość, że ta rola jest jakimś przekroczeniem, jakimś nowym rozdziałem w twoim aktorstwie?

Rzeczywiście spotkałam się z opiniami, że nie tyle grałam Molly, ile nią byłam, że udało mi się wejść na poziom grania-bycia. Nie chcę kategorycznie stwierdzić, że ja, Martyna Krzysztofik, stałam się Molly, to byłoby zbyt górnolotne. Ale na pewno jest mi to postać bardzo bliska, właśnie przez jej sposób bycia: niekontrolowany, czasem nielogiczny wypływ myśli, emocji.

Zresztą to doświadczenie było dla mnie pomocne przy pisaniu autorskiego stand-upu. Premiera *Masażystki* zainauguruje działalność nowej sceny teatru w podziemiach MOS przy Rajskiej, już na początku lipca. Forma takiego spektaklu też może wyglądać jak jakieś niekontrolowane gadanie, na dodatek

gadanie w trakcie wykonywania masażu kobido (jestem certyfikowaną masażystką!). Ale stand-up jest w swojej strukturze dość uporządkowany i te formalne podobieństwa są pozorne.

Natomiast Molly zupełnie nie dało się uporządkować w klasyczny sposób, stosując jakieś pamięciowe triki. Czasem sobie coś rozrysowuję, czasem rozpisuję, uczę się, na przykład, od jakiej litery zaczyna się następna myśl. Nagrywam, odsłuchuję. Z pewnością Molly otworzyła w moim aktorstwie zupełnie nowe rejony. Całe doświadczenie było karkołomne, bez taryfy ulgowej, a rola, przez kilka miesięcy, dosłownie mnie zjadała. Nie wspominając o niespaniu mojego faceta – uczyłam się tego po nocach i prawie przez sen. Bałam się, że zostanę w końcu wyrzucona z domu!

Teatr był obecny w twoim życiu od najwcześniejszych lat. Zawsze chciałaś być aktorką?

W dzieciństwie w ogóle nie chciałam być aktorką, aktorką zawsze miała być moja starsza siostra. Grałam na fletach prostych i jedyne konkursy, jakie wygrywałam, to były konkursy kolęd. Ale od castingów uciekałam. Bardzo się stresowałam, m.in dlatego nie skończyłam szkoły muzycznej, bo bałam się podejść do końcowych egzaminów. Zagrałyśmy z siostrą w teatrze telewizji, wystąpiłyśmy też w *Dziadach* Jerzego Grzegorzewskiego w Starym Teatrze w 1994 roku. To było niezapomniane przeżycie. Miałam wtedy sześć lat, do dziś pamiętam rozpoczynający spektakl monolog Andrzeja Hudziaka… (*tu Martyna recytuje fragment*). Siedziałam pod stołem, zasłonięta obrusem, zaglądał do mnie Jerzy Radziwiłowicz (*tu fragment tekstu Radziwiłowicza*). Zresztą po latach spotkaliśmy się w Narodowym w *Iwonie*… Gombrowicza, a pan Jerzy zaproponował, żebyśmy mówili sobie po imieniu. Wielkie przeżycie.

W tym spektaklu śpiewałyśmy także piosenki skomponowane przez Stanisława Radwana.

Stary Teatr w dzieciństwie to było ważne doświadczenie, na pewno coś z tych lat we mnie zostało. Miałam na Scenie Kameralnej ukochany schodek, pod filarem. Uwielbiałam tam siedzieć, wtulać się w ścianę i chłonąć. Kiedy już byłam w szkole teatralnej, wiadomo, wszyscy marzyli, żeby dostać się do Starego. Ja oczywiście też. Kiedy dostałam rolę w *Szewcach*, w 2017 roku, przez moment te marzenia wydawały się realne. Nie udało się, może poszukiwano wtedy kogoś innego, może nie byłam dość dobra? Teraz moim Starym stał się Teatr im. Słowackiego, to fantastyczne uczucie. W teatrze zresztą trzymam się ze starszymi kolegami i mam czasem wrażenie, że w głowie przynależę do teatru, który jest „starszy". I pewnie dlatego najbardziej w teatrze przyjaźnię się z Anią Tomaszewską; jest to cudowne.

Małgorzata Hajewska-Krzysztofik zachęcała cię, żebyś została aktorką, czy wręcz przeciwnie? Czasem rodzice, znając trudy zawodu, zrobią wszystko, żeby oszczędzić tego dzieciom.

Nie zachęcała, ale i nie broniła. Kiedy szykowałam się do egzaminów wstępnych do szkoły, zaproponowała, że mnie przepyta z tekstów. No i wtedy okazało się, że to dla mnie trochę za wiele… Zawsze byłam dość skrytą osobą, nie mówiłam w domu o swoich sprawach. A tutaj musiałabym się odsłonić. Rozchorowałam się i dostałam bardzo wysokiej gorączki. To był zresztą dość trudny życiowo moment: kończąc liceum, nie miałam sprecyzowanych planów. Zastanawiałam się, z czego jestem naprawdę dobra. No, z WF-u, muzyki i plastyki… Zero przyszłości, prawda? Do szkoły zdawałam trzy razy. I dopiero za trzecim razem byłam pewna, że tego chcę.

Wcześniej pracowałam w knajpie, ale nie miałam pojęcia, co robić w życiu, jak chyba wielu młodych. Pojawiały się naprawdę dziwne pomysły na życie. Kiedy zdawałam po raz trzeci, poprosiłam rodziców, żeby w razie porażki kupili mi bilet do Afryki. Zamierzałam wyjechać i pomagać tam ludziom. No, ale stało się inaczej.

Mama daje ci jakieś uwagi, podpowiada, ocenia?

Na początku pisała do mnie listy na temat ról. Czasem nic nie mówiła, więc rozumiałam, że chyba było dobrze. A jeśli coś powiedziała, to bardzo delikatnie, dyskretnie. Pochwaliła mnie po *Weselu* Mai Kleczewskiej, ale i zaproponowała, żebym w scenie z siostrą, mówiąc „czego żal, czego żal", próbowała postawić akcent na innym słowie, niż zrobiłam to w spektaklu. Żebym czegoś jeszcze tam poszukała, poza oczywistością. I miała rację. Mama jest mistrzynią wyszukiwania wielu sensów nawet w jednym słowie.

Często rozmawiacie o teatrze?

Tak, ale w sumie częściej o jej rolach. Zagrała ich o wiele więcej, niż ja, to zupełnie naturalne. Ale zdarza mi się, na przykład, przepytywać ją z tekstu. I to jest ważne doświadczenie, do którego mam dostęp. Pracujemy podobnie: rozpiski na ścianach, nagrywanie, wtłukiwanie słów do głowy. Ten etap pracy nad rolą jest bardzo ważny: musisz przejść przez bardzo różne analizy, nawet jeśli rola nie ma psychologicznego charakteru i jest bardzo formalna. Niezła szkoła, naprawdę.

Skończyłaś PWST w 2013 roku i bardzo długo szukałaś swojego miejsca w teatrze. Co było przełomem?

Prawdziwym przełomem stał się do mnie etat w Teatrze im. Słowackiego. To poczucie, że gdzieś cię chcą na stałe, że na ciebie stawiają, że jesteś potrzebna. Nie tylko na jeden raz. Naprawdę kochałam to moje granie w różnych teatrach – pracę z różnymi aktorami, dla różnorodnej widowni, można też pozwiedzać trochę świata. Ale bycie w zespole to zupełnie inna jakość, inny poziom bezpieczeństwa: wiara, że można się rozwijać, że pojawią się nowe role. A teatr jest aktualnie w fantastycznym momencie – jestem wdzięczna kosmosowi, że to się dzieje, właśnie tu i teraz. Co dalej? Córka chciałaby mieć rodzeństwo, namawia mnie… Nie przestaję myśleć o kinie – może być dramat, zagrałabym w filmie akcji, może być komedia romantyczna. Byłoby cudownie i tego spróbować.

Wzór cytowania:

Litr soku pomidorowego, tabliczka gorzkiej czekolady, największy na świecie banan, z Martyną Krzysztofik rozmawia Justyna Nowicka, „Didaskalia. Gazeta Teatralna” 2025, nr 187/188, https://didaskalia.pl/pl/artykul/litr-soku-pomidorowego-tabliczka-gorzkiej-czekolady-najwiekszy-na-swiecie-banan.

Źródło:
https://didaskalia.pl/artykul/litr-soku-pomidorowego-tabliczka-gorzkiej-czekolady-najwiekszy-na-swiecie-banan